

GŁODNE SŁOŃCE

Altarz i Krew

Głodne Słońce:

Tom 1. Dymiące Zwierciadło

Tom 2. Ołtarz i Krew

WOJCIECH ZEMBATY GŁODNE SŁOŃCE

Ofiary i Krew



powergraph

Warszawa 2019

Copyright © 2019 by Wojciech Zembaty
Copyright © 2019 by Powergraph
Copyright © 2019 for the cover illustration by iStock
Copyright © 2019 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski, Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Niciak, iStock
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel.: +48 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-64384-66-0

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.
Printed in Poland, EU

Prolog

*Ja wszystkim obcy wśród mojej ojczyzny –
I Śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny.*

Antoni Malczewski, *Maria*

Dni mijały, kamienne dni Dołów, miłosierne i pełne uroku jak śledczy w skórzanej masce. Pełzały po dziecięcej skórze Harana z uporczywością pijawek, spragnione i nieme, nieróżniące się niczym od nocy. Przetaczały się przez niego jak kłody, dni bezświelne, bezduszne i straszne, wypełnione dławiającym znojem i odurzającym aromatem podziemnej żywicy, a czasem nagłym uniesieniem walki, gorączkowej ucieczki i łowów.

Ciemność z Dołów różniła się od innych, poślednich, gatunków mroku, jak dziki jaguar różni się od domowego kocura. Była wszędzie, rozświetlały ją tylko nieliczne, wykradzione otchłani pochodnie, a także bladawy blask *brazatalu*, którego cenne skupiska niczym próchno jarzyły się w czarnym bezmiarze tego dziwnego świata.

Chłopiec powoli zapominał o złudnych zjawiskach i barwach z Powierzchni. Zamiast tego nadawał znaczenia

kolejnym obszarom czerni. Strach był szkarłatny, cielisty i krwawy, podobnie jak groza, tęsknota i boleść, z którymi sąsiadowała zbryzgana odwiecznym złem zieleń, złowroga i jadowita. Radość przychodziła pomarańczowa, zadowolenie i sytość chadzały w barwach sepii, złota jesiennych liści i rumianej czerwieni dojrzałego, chwiejącego się na gałęzi owocu. Nadzieja miała kolor czystego błękitu. Po roku Haran przestał pamiętać, jak właściwie wygląda ten kolor.

I były też bębny, ciemność tętniła ich drganiem, jakby w czeluściach ziemi pracowało serce jakiejś olbrzymiej i nienawistnej istoty. Zjadacze czekali tam na nich, nie dawali o sobie zapomnieć.

I nigdy nie przestawali polować.

Drzemiący przy ognisku Haran obudził się nagle. Podrywając się, obalił tubylczego przewodnika, który musnął go, podchodząc do garnka z wieczerzą. Krępy człowieczek o umięśnionych łydkach gramolił się, przestraszony. Ogromny Druazzi już go nie widział. Zrobiwszy kilka niezdarnych kroków, zastygł ze stopą w ognisku, spowity chmurą wzlatających ku niebu iskier z sosnowych szczap.

Pozostali przewodnicy i tragarze gapili się na niego w milczeniu. Książę Tennok wynajął ich, by towarzyszyli im w uciążliwej podróży z Tollan, stolicy Przymierza, do leżącego na dalekim południu, odgrodzonego wysokimi górami Yugal. W końcu był synem Maczuraia z klanu Turkusowej Włóczni, nie zamierzał powracać do rodzinnego miasta jak jakiś obdartus. Odkąd wkroczyli na rozległe pogórze Gór Mgły, oddzielające parne niziny Yugal od centralnych prowincji Przymierza, ataki tajemniczego stuporu zdarzały się barbarzyńcy coraz częściej.

W powietrzu rozległ się charakterystyczny swąd przypiekanego ludzkiego mięsa. Przestraszeni tragarze czym prędzej wypchnęli Harana z ogniska, spluwając i łapiąc za amulety w rytualnych gestach, mających odczynić klątwę. Na zostanie świątecznym pieczywym trzeba sobie zasłużyć, żaden z narodów Przymierza nie ofiarowywał swym bogom nieprzygotowanych i nieoczyszczonych specjalnymi rytuałami skazańców. Wielki Druazzi zatoczył się i upadł.

Tennok, który od dziecka odznaczał się dociekliwością godną kapłana i mędrca, zaobserwował, że katalizatorem tych transów z reguły bywało kilka czynników. Ciemność, niepokojące odgłosy, nagły ruch obcego człowieka. Dziś spowodował to dźwięk: w sąsiedniej dolinie zaczęły bić bębny. Może pomogła też szczypta cennego kopalu, kadzidla o specyficznym, nieziemskim zapachu i narkotycznych właściwościach, które księżę dyskretnie cisnął w ognisko.

Tennok naprawdę chciał wiedzieć, co jego były niewolnik przeżywa w takich momentach. To musiało być coś znacznie silniejszego niż wynurzające się z pamięci wspomnienia, nawet te najbardziej bolesne, rzucające się na brzegach świadomości jak ślepe potwory z głębin, nieopatrznie podrażnione harpunem. Od wspomnień nie pocisz się przecież i nie szczerzysz zębów, nie dygoczesz i nie robisz pod siebie. Nie wyrywają ci z gardła warkotu wściekłego wilka i nie każą twym palcom zaciskać się konwulsyjnie niczym szczypcie głodnego skorpiona.

Którejś nocy księżę obudził się i zobaczył, jak Haran przywiązuje lewą, zniekształconą dłoń do drzewa. Drgała kurczowo, ewidentnie poza jego kontrolą. Barbarzyńca nie chciał powiedzieć, dlaczego to robi, ale twarz miał poharataną i zakrwawioną, jakby głodny jaguar próbował wylupić mu oczy. Rzucało to nowe światło na naturę nękających dawnego *ursa* koszmarów, które mogły mu wyrządzić realną, fizyczną krzywdę.

Tennoka to nawet bawiło.

Jego dawny niewolnik nosił teraz paradny strój weterana i wyglądał na wielkie panisko. Szamerowany złotem kaftan z kruczych piór, najnowszy krzyk mody w Tollan, opinał jego atletyczną sylwetkę, skrywając blizny i wyniesione z Dołów deformacje. Chłopak nie przypominał już kornego, znękanego *ursa*, niewolnika zastępującego szlachetnie urodzonego właściciela przy ofiarach z bólu i krwi. Podczas ostatniej wojny Haran wziął do niewoli legendarnego bohatera Tlaszkali, Szaratangę, i ocalił życie Quinatzina, *tlatoaniego* Przymierza. To dość zasług jak na jednego człowieka, i właśnie dlatego Tennok nie mógł patrzeć na swego dawnego *ursa* bez dziwnej mieszanki zawiści, podziwu i nienawiści.

Tę ostatnią czuł także do samego siebie. Znowu okazał się głupcem. Nic nie stało na przeszkodzie, by przypisał zasługę ze schwytania Szaratangi sobie. W końcu dokonali tego razem, a wielki Druazzi nigdy się nie pchał przed szereg.

Ale mimo tych zmian, w oczach Harana płonęło to samo szaleństwo co wtedy, gdy Tennok wyciągnął go z niewolniczych sztolni, obdarowując młodego barbarzyńcę wątpliwą łaską i statusem *ursa*. Być może ostatnio było z nim nawet gorzej.

Księżę przyglądał się nieprzytomnemu barbarzyńcy, ale w jego wzroku próżno by szukać współczucia. Z każdym dniem umacniał się w zamiarach powziętych wobec dawnego przyjaciela. Jego odwieczna pogarda i wstręt do siebie znalazły sobie nowy powód, po czym wezbrały jak przegrodzona tamą rzeka, która szuka nowego koryta. Nie chciał pamiętać, że barbarzyńca już tyle razy uratował mu skórę.

Haran odebrał mu dziewczynę, Haran otrzymał nagrodę za wojenne zasługi ich obu.

I to Harana pozbędzie się, gdy tylko dotrą do Yugal. Obmyślił już wszystko, w snuciu planów od zawsze był

dobry. Nie darmo przepędził życie na fantazjach i niespełnionych marzeniach.

Tym razem jednak będzie inaczej. Fantazja przerodzi się w śmierć.

Tennok nie przestawał myśleć o Citlali. Sprawiało mu to sporo kłopotów, bo gdy tylko dziewczyna pojawiała się w jego myślach, zalewała go nienawiść. Musiał ukrywać te emocje przed Haranem. Barbarzyńca nie należał do osób szczególnie przenikliwych i domyślnych, lecz nie był też prostodusznym głupcem, na jakiego wyglądał.

Księżę usiłował więc o niej nie myśleć – i oczywiście tym bardziej go nawiedzała. Przede wszystkim bolała go jej zdrada. Bo, nazwijmy rzecz po imieniu, to była pieprzona zdrada. I nieważne, że dziewczyna nie składała mu żadnych obietnic, ba, ofiarowała mu zaledwie jeden spacer, parę wzgardliwych spojrzeń i kilka złośliwych żarcików. To nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się przeznaczenie oraz tęsknota i miłość Tennoka. Citlali powinna, musiała należeć do niego. Zamiast tego wołała się gzić z jego parszywym niewolnikiem. To jakby napłuła Tennokowi w twarz.

Terażniejszość nie dawała się ścierpieć, przeszłość wyglądała fatalnie. A przyszłość, ostoja marzycieli i głupców? Na samą myśl o spotkaniu z Irdaną robiło mu się niedobrze. Matka z pewnością każe mu zdać raport z dokonań i sukcesów w Tollan. Pocięszął się, że wszystko mogło pójść gorzej. Mógł uciec i okryć się hańbą, zdezerterować podczas kampanii w Tlaskali. Mógł poszczać się ze strachu na oczach króla i dworu. Mógł dostać hysterii. Zamiast tego dochrapał się munduru Jaguara i jakoś odznaczył w swojej pierwszej bitwie. To nie w kij dmuchał, prawda? Tennok powtarzał to sobie przez całą drogę do domu, niczym zziębnięty żebrak, który chucha i podsyca wąły płomyczek, osłania go dłońmi

przed wiatrem i deszczem. Coś ci się jednak udało, frajerze. Miał dziwną pewność, że Maczurai nie oczekiwał po nim nawet tego. Z drugiej strony, osiągnięcia księcia nie były na tyle imponujące, by cokolwiek między nimi naprawić.

Przemierzali żyzne równiny wielkiej kotliny Synn, otoczonej półkolem uspionych wulkanów z odległymi, ośnieżonymi szczytami, białymi jak lotki piór. Mijali związkowe miasta Przymierza, drzemiące nad brzegiem jeziora Texoco, pstrokate poletka *chinampa* i stare groble usypane na kościach demonów.

Potem zaczęły się lasy, góry spowite mgłą, krainy starożytnych, nieujarzmionych plemion zazdrośnie strzegących swych dolin. Podróż wlokła się niemiłosiernie i książę z zazdrością myślał o dawnych Białoskórych, którzy podróżowali na grzbietach oswojonych zwierząt. Wielkie czworonogi przetrwały co prawda Kłatwę, ale objęto je w imperium ścisłą reglamentacją, podobnie jak stalową broń, zamorskie rozwiązania inżynieryjne, alkohol i złote monety.

Czerwony Kapłan, Szurukan, powiedział kiedyś, że gdyby ulec jakimkolwiek wpływom i zgubnym podszeptom wrogów, otworzyłyby to tamę i nieubłagane, niespostrzeżenie zmieniło ich w Białoskórych, tak jak stało się z niektórymi ludami z północy. I właśnie dlatego Tennok, bądź co bądź książę, miał teraz pęcherze na stopach, a wieczorem wyciągał spomiędzy palców u nóg napęczniałe, tłuste od krwi pijawki. Przekłęte klechy powinny umieścić je na swoich sztandarach.

Haran także wydawał się nieswój. A przecież miał powody do świętowania. W przeciwieństwie do Tennoka naprawdę stał się bohaterem tłumów. Ocalił władcę Odrodzonego Przymierza. Wdzięczny Quinatzin osobiście wyzwolił go z haniebego statusu. W dodatku dzikusowi udało się odbić

Tennokowi dziewczynę, choć trzeba przyznać, że to Citlali o wszystkim zdecydowała.

Mimo to z każdym dniem podróży Haran wyraźnie przygasał.

Barbarzyńca nigdy nie był szczególnie rozmowny, teraz jednak zaczął przypominać ducha. Któregoś ranka zaciekawiony Tennok postanowił wy badać, co się z nim dzieje i dołączył do niego w marszu.

— Nie cieszysz się, że zobaczysz rodzinę? — zapytał, jakby radość z takiego spotkania była czymś oczywistym. Jakby on sam cieszył się na spotkanie z okrutnym tyranem, swoim ojcem. I matką, którą można straszyć niegrzeczne dzieci. Jakby w ogóle potrafił zrozumieć radości normalnych ludzi.

Olbrzym łypnął na niego smutno.

— Moja matka... Przecież ona nawet nie wie, że jestem wśród żywych. To może ją zabić.

Typowe. Biedny dureń przecenia pozytywne uczucia innych, zamiast uważnie przyjrzeć się swoim, pomyślał ksiączę. Haran urodził się prawy i myśli, że wszyscy są tacy. Właśnie na tym polega głupota dobrych.

— Nie zawiadomiłeś jej?

— Niby po co? Przecież po tym, jak wyszedłem z Dołów, od razu zostałem twoim *ursem*. Każdego dnia mogłeś zużyć moją krew — mruknął Druazzi.

Tennok wbił wzrok w zakurzoną drogę.

— To już nieaktualne — mruknął.

Zresztą, wcale nie zmuszał Harana do jakichś szczególnych poświęceń. Krew budziła w nim wstręt. Celował w dręczeniu samego siebie, ale raczej w duchu.

Haran pokiwał głową.

— Ale się porobiło, nie? Wracamy do domu jak równi sobie. Kumple. Kto by pomyślał?

Na pewno nie ty, dzikusie. Wy przecież nie myślicie, chciał wysyczyć Tennok, ale ugryzł się w język. Niestety, naprawdę stali się równi, tyle że Haran był wyższy od niego o głowę.

Niewidziane przez kilka miesięcy Yugal wydawało się Haranowi stare. Jakby wsunąć głowę do zatęchłej, zapyziałej izby, w której straszy zastałe powietrze. Jednocześnie miasto skurczyło się, pretensjonalne niczym dziecko przebrane według kaprysu dorosłych.

Haran nie czuł się szczególnie zdziwiony ani rozczarowany. Gdyby powrócił do domu i odkrył tam prawdę, dobro i piękno, uznałby, że właśnie postradał zmysły.

Dotarli do bramy warownej prowadzącej do Górnego Miasta. Pękate baszty zerkwały na nich szyderczo, mrugając rzędami okienek strzeleckich. Barbarzyńca zastygł, wpatrzony we wrota, w których skończyło się jego dzieciństwo. To tutaj Pęcherz przywołał do porządku strażników, nie wiedząc, że zaprowadzi ich to wprost do piekła. Harana i Tennoka nikt oczywiście nie indagował, stroje Jaguarów sprawiały, że strażnicy stawali na baczność.

Najdziwniejsze w powrotach nie są zmiany, lecz zrozumienie, że podczas naszej nieobecności życie bezwstydnie toczyło się dalej. Przed bramą kłębił się ten sam tłum uchodźców, handlarzy, wyrugowanych z ziemi chłopów i objuczonych ubitą zwierzyną Druazzi; już samo to zakrawało na kpinę. Ot, życie trwało, nie dbając, że w głębiach pod nim płoną ognie piekielne.

Druazzi odwrócił się i popatrzył na Tennoka, który także wydawał się zamyślony.

— No to wróciliśmy.

— Co zamierzasz? Pewne odwiedzisz Leśną? — Książę wskazał na schodzące do mętnej rzeki rudery i nędzne lepianki. Gnieździli się tam wygnani z puszczy Druazzi.

Mieszkańcy spali w tych ubogich schronieniach tylko podczas deszczu, ich codzienne zajęcia zaś, czyli mielenie mąki, gotowanie i wyprawianie skór, a także sortowanie odpadków i padliny niesionej przez rzekę, toczyły się na

zaśmieconych podwórkach. Nazwa dzielnicy już dawno przestała być aktualna. Nie rosło tam wiele drzew. Co najwyżej smętne kikuty i zbutwiałe, przegniłe chaszczce.

Dalej za rzeką kuliły się jeszcze nędzne zagajniki i sparszywiałe, dotknięte plagami poletka. Jeżeli cokolwiek tu kwitło i miało się świetnie, to chyba szara choroba. Od leniwie płynącej Mys biła woń porażki i opuszczenia. Jakby stara rzeka toczyła swe wody z przyzwyczajenia, resztką sił, już dawno straciwszy wiarę, że gdziekolwiek w oddali jest morze.

Barbarzyńca potrząsnął grzywą i popatrzył spode łba na stojących przy bramie strażników. Wyglądał jak wygłodniały drapieżnik.

— Nie dziś. Poszukam oberży w Górnym Mieście. Może koło targu? Widzę, że już chcesz się ode mnie uwolnić... panie. Boisz się, że przyniosę ci wstyd na pokojach? — zakpił.

Książę popatrzył na niego dziwnie. Po chwili uśmiechnął się rozbrajająco i poklepał byłego urusa po plecach.

— Przestań. Pamiętam, co razem przeszliśmy — powiedział.

Haran zatrzymał się w pierwszej napotkanej gospodzie i zabrał ostro do picia. Karczma była obskurna, kukurydziane badyle na klepisku jak w niewolniczych barakach, a usługujące dziewczki miały wyslizgane ciała, twarde oczy i szare uśmiechy. Urzekła go jednak nazwa. Zamierzał nawalić się „Pod Zagojonym Kikutem”.

Tennok rzeczywiście cieszył się, że uwolnił się wreszcie od towarzysza. Obecność Harana była jak jątrzący cień, dotkliwe wspomnienie porażki.

Na widok Górnego Miasta, ze stożkiem centralnego wzgórze, gwałtownie uciętym w połowie, obwarowanym bastionami i zrytym sztolniami Dołów, niczym zdewastowana

termitiera, książę uświadomił sobie, jak bardzo to miejsce go ukształtowało. Gdyby przyszedł na świat w gwarnej kupieckiej faktorii, w której cała tajemnica istnienia sprowadza się do fałszowania towarów i wyludzania kredytów, z pewnością wyrósłby na kogoś innego. Być może dużo mądrzejszego. Za to starożytne Yugal skrywało mnóstwo sekretów. W przeciwieństwie do odbudowanego, wskrzeszonego z popiołów Tollan, pamiętało mityczne czasy poprzedzające Kłątwe. I nigdy nie stało się miastem Kruzów.

Nawet jego rodzina, dumny klan Turkusowej Włóczni, przy szerniających ze starości miejskich murach wydawała się zaledwie chwilową naroślą, liszajem niewartym uwagi. Poczł ciężar wieków, w których cieniu dorastał. Kochał wygrzebywać z tego majestatycznego śmietniska okruchy starożytnej wiedzy. Odległe początki Yugal, zbudowanego przez zapotekich budowniczych, były jednym z tych przeoczonych i zapoznanych okruchów historii. Ich podupadli, pogrążeni w niewiedzy potomkowie wciąż zapełniali ulice i place targowe miasta. Fascynowali Tennoka, podobnie jak inne kultury z zasnutyh mgłą tajemnicy epok poprzedzających Kłątwe.

Współcześni Kruzowie byli dziećmi zaginionych i zamęczonych rodziców, o których niewiele wiedzieli. Ocaleli z Kłątwy, przejęli od nich bogów i narzędzia, techniki uprawy roli i budowania piramid. Nawet nazwy plemion, skrzykniętych w szalejącym chaosie i śmierci. Mówimy tym samym językiem, myślał Tennok, lecz nasz świat jest już zupełnie inny. Białoskórzy zaszczepili w nim poczucie kruchości i nietrwałości oraz cień nieuchronnej zagłady, którą w ostatniej chwili odsunęła Kłątwa. Krwawe piętno.

Kapłani twierdzili wprawdzie, że Prawdziwi Ludzie już przed najazdem wydeptali potrójną ścieżkę: ofiary, bólu i krwi, ale Tennok podejrzewał, że to Kłątwa ugruntowała tyranie kapłanów. Niestety, o tych zamierzchłych czasach

trudno się było czegokolwiek dowiedzieć. Historia dzieliła się na tę Przed Kłątwą i na tę z Naszego Cyklu. Między nimi nie było równowagi. Błahe graniczne wojny z Wielkim Tikal i Taraskami, Otomi czy Tlaskalą opisane zostały przez kruzańskich uczonych w dziesiątkach opasłych tomów. Podobnie jak nowożytna historia Inków, a nawet koczowniczych plemion z północnych równin. Początki ich własnych dziejów niknęły w głębokim mroku.

Oficjalną, uznaną wiedzę o Latach Kławy zawarto w świętym eposie *Tlazemotal*, zwanym *Kroniką ocalenia*. Ta księga kapłańska skupiała się na peregrynacjach bóstw i przeszkodach, jakie musiał pokonać Tezcatlipoka, żeby pokonać szatańskiego boga deszczu, Tlaloca, pod którego podszył się niesławny wódz Białoskórych. Ten, Którego Imienia Nigdy Nie Wymawiano. Księga była właściwie hymnem dziękczynnym. Subtelnie podkreślała zasługi płynące ze składania ofiar i konieczność bezwarunkowego posłuszeństwa bogom. I klerowi. Próżno szukać w niej opisów taktyki bitew, oblężeń i polityki w latach Pierwszego Przymierza.

Wspomnieć należy jeszcze wyklętą, zakazaną *Ontologię Kławy*, autorstwa Yagazpina Bluźniercy, którego pobożni kapłani literalnie i z dużym wysiłkiem utopili w jego własnej, zatrutej herezją krwi. Lecz do tego niesławnego dzieła Tennok nigdy nie próbował dotrzeć. Aż tak mu życie nie zbrzydło.

Książę ocknął się z zamyślenia, gdy coś upadło przed nim na pokrytą pyłem ulicę, wzbijając kurz. Zakaszłał i zamrugał zakłopotany, widząc sylwetkę człowieka. Zorientował się, że to bijący czołem o ziemię wojownik. Na pikowanej, bawełnianej zbroi nosił niebiesko-czarne barwy Turkusowej Włóczni.

Tennok nie wiedział, co począć. Do tej pory figurował na szeptanych listach znaczenia i wpływów jako niezbyt znacząca postać. Gdy starsi bracia zginęli, demolując ustalone

hierarchie statusu i dziedziczenia, niezwłocznie wyjechał z miasta. Teraz wystarczył mu rzut oka na oblicze żołnierza, pełne czci i łapczywej, pochlebczej nadziei, żeby zrozumieć, że czasy spokoju minęły. Maczurai się starzał, a jego ludzie przelali na Tennoka część oddania i zwierzęcego strachu, które łączyli z osobą władcy Yugal.

Książę chrząknął i machnął dłonią, nakazując wojownikowi powstać. Wokół nich zdążył się zgromadzić zacieka-wiony tłum.

Tennok uświadomił sobie, że ma na sobie paradny mundur Jaguara. Posypały się pierwsze, nieśmiałe wiwaty. Fama o ich zwycięstwach i pojmaniu słynnego Szaratangi dotarła najwyraźniej aż tutaj. Tennok zatęsknił za swoimi książkami. Co gorsza, te manifestacje sympatii wydawały się szczere. Jakby ci ludzie nawet po wiekach ucisku nie stracili wiary, że trafi im się dobry, sprawiedliwy władca.

Pozwalał się klepać i szturchać i tylko uśmiechał się, zakłopotany. Świadomość własnej sławy była naprawdę dziwna.

Na szczęście czołobitny żołnierz szybko oprzytomniał. Skrzyknąwszy dwóch podkomendnych, brutalnie i skutecznie utorował Tennokowi drogę przez tłum. Ścigały ich radosne okrzyki. Książę zatęsknił za anonimowym gwarem stolicy, w której był tylko jednym z tysiąca trutniów z rodowodem. Westchnął i ruszył za swymi ludźmi.

Cóż. Przynajmniej kopniaki i razy, którymi żołdacy hojnie szafowali, tym razem nie zostały wymierzone w niego.

Na Wzgórzu było znacznie przestronniej, chyba że ktoś zapuścił się na cuchnący niewolniczą niedolą targ. Tennok nie miał takiego zamiaru. Podziękował eskorcie i czym prędzej zanurkował w labirynt uliczek i wciśniętych w nie pałaców szlachty. Zapotecka architektura Wzgórza, ukształtowana w górskich dolinach, miała w sobie coś owa-dziego. Zwłaszcza haremy możnych, które Tennok nazywał Wylęgarniami.

W końcu dotarł do siedziby Turkusowej Włóczni, odnowionej i przebudowanej podczas jego nieobecności. Władza nad miastem popłaca, pomyślał. Strażnicy nie robili mu żadnych trudności. Ze wstrętem sunął krętymi korytarzami, mijając cele, w których spało, wyło i srało potomstwo jego ojca. Lokalni władcy, podobnie jak wielcy królowie, mnożyli się na potęgę. Synowie wzmacniali siłę rodu, obsadzali urzędy w administracji i w wojsku. Uprzywilejowani, ale też najbardziej zagrożeni, wiedzieli bowiem, że w razie upadku miasta wrogowie zadbają o to, by nikt z rodu panującego nie przeżył. To dlatego krewniacy tworzyli najbardziej lojalne wojska każdego klanowego wodza.

Tennok zawsze przejmował się rozwojem swojego młodszego rodzeństwa. Regularnie pisywał w tej sprawie do matki. Na razie wszystko szło dobrym torem, Kazelqin i Nacetuhotl pozostali okrutnymi półgłówkami, rozkochanymi w przemocy i łowach. Cieszył się, że budzą w nim pogardę, przyzwyczał się do tego uczucia. Latami przyglądał się ich brutalnym twarzom, pochylał nad zamęczonymi kotami i zatłuczonymi psami.

W tej kwestii niewiele się zmieniło. W matczynych listach czytał o skatowanych *ursach* czy buntowniczych wioskach Druazzi, które – w pancernej asyście zbirów – bracia pacyfikowali jeszcze przed swą pierwszą polucją. Za każdym razem widział w tych młodych demonach idealnych dziedziców Maczuraia i oddychał z ulgą. Dostałby zawału, gdyby zobaczył któregoś z kapłańskim kalendarzem lub książką.

Maczurai gorąco zachęcał swoich synów do odwagi i okrucieństwa. Na tym polu Tennok potężnie go rozczarował. Za to młodszy synowie rozwijali się bez zarzutu. Gruboskórni, wściekle aktywni drapieżcy, stworzeni do sprawowania władzy i zadawania bólu. Bezwzględna, zwierzęca witalność wylewała się z nich wszystkimi porami skóry, nieskrępowana namysłem, współczuciem ani chwilą

słabości. Nawet strach ich się nie miał, gdyż mogli odczuwać go tylko w stosunku do Maczuraia, który jedynie zachęcał ich do bezkarnego okrucieństwa.

Tennok porównywał się z braćmi od lat. Być może najbardziej różniło go od nich zdrowie. W dzieciństwie bez przerwy chorował i kwękał, a przykład braci nauczył go nie ufać silnym i zdrowym. Dopiero potem zrozumiał, że ich bezwzględna przewaga jest jego tarczą. Od tej pory trzymał kciuki za ich powodzenie i zdrowie. Wiedział, że gdy tylko osiągną wiek męski i Maczurai oficjalnie namaści ich na swoich następców, klan Turkusowej Włóczni wreszcie machnie ręką na niewydarzonego i tchórzliwego Tennoka.

Ojciec może nie zgodzi się, żeby jego wybrakowany syn został pożałowania godnym uczonym albo poetą, ale na pewno pozwoli Tennokowi wycofać się z pozycji, którą zajął po wypadku starszych braci.

Księżę jej nienawidził, podobnie jak polowań, uroczystości rodzinnych i patriotycznych. Nienawidził rywalizacji, przemocy i potwierdzania statusu, zestawu niesympatycznych zachowań, które wypełniały egzystencję każdego szlachcica. Pragnął łagodności, która w twardym świecie Kruzów oznaczała desperacką, wręcz samobójczą brawurę. Z trybu życia arystokracji najbardziej odpowiadała mu dieta i tym był gotów się zadowolić. A niech tam, poświęci się.

Niech inni dyszą i rozpychają się łokciami, roztaczając miraż bohatera z ogromnym kutasem. Miał to gdzieś. Niech skrzeczą na kupach gnoju i okładają się po gębach pyłami. Gdy Citlali dała mu kosza, pozbył się złudzeń. Jeżeli to konieczne, może uchodzić nawet za cipę.

Na początek zajrzał do sali ćwiczeń i ujrzał tam dzieciaki z klanu, tłukące się pod okiem instruktora drewnianymi mieczkami. Nowy mistrz miecza, młodszy następca Catehumotla, w ten sam sposób pastwił się nad jakimś niezdatnym chłopaczkiem, prychając z irytacją i źle masko-

waną pogardą. Niezdarny malec zaciskał zęby, budując w sobie wiarę, że kiedyś zostanie mistrzem.

Po upokorzeniu słabeusza instruktor przedstawił mu przykład do naśladowania. Był to krzepki, dziewięcioletni dzieciak o zadartym nosie i zadowolonym uśmiešku, w którym Tennok rozpoznał Nacetuhotła. Kazelqin też dostał swoją porcyjkę pochwał. Jego bracia zdążyli zmęźnieć przez te kilka miesięcy, ale z pewnością nie zmieniły im się charakterki. Tennok wycofał się z ulgą.

Zbliżając się do komnaty matki, poczuł, jak jego nogi nagle stają się ciężkie. Wspomnienia z dzieciństwa zacisnęły się na jego sercu niczym kajdany.

Dziwne. Irdana chroniła go, jak umiała, przed prawdziwym okrucieństwem pałacowych przewrotów i czystek, przed zakusami skrytobójców, sadystów i zdeterminowanych rywalek. Jeżeli w ogóle w dzieciństwie miał w pałacu sprzymierzeńców, to matka na pewno się do nich zaliczała. Mimo to z każdym krokiem czuł się mniejszy i słabszy. Jakby ktoś wcisnął go z powrotem do klatki, z której już dawno wyrósł. Jakim cudem przeżył, jakim cudem to on stał się tym najstarszym? Cóż, na pewno pomogło, że miał wyjątkową matkę.

Siedziała w fotelu, zaczytana. Była wykształcona i nie wstydziła się tego, powtarzając, że dobra żona potrafi zainteresować męża także wtedy, gdy nie rozkłada nóg. Na widok pierwotnego starannie zwinęła tom, zaznaczając czytany fragment zakładką ze skóry dziecka.

Nie była zaskoczona, Tennok powiadomił ją listownie, że przyjedzie. Obrzuciła taksującym spojrzeniem jego mundur i leciutko zagryzła wargi. Brak oficerskich szlifów? A może wolałaby mundur Orła? Książę odnotowywał każdy grymas, każdy gest matki, nawyk, od którego się nie wyzwolił. Od małego wylaływały nastroje rodziców niczym nietoperz niesłyszalne dźwięki.